

## JUŻ WOLEŃ, ŻEBY MNIE OBRAŻANO

Kiedy 7 stycznia 2015 r. wieczorem udałem się pod ambasadę francuską, okazało się, że niewielu warszawiaków poruszył los zamordowanych tego dnia dziennikarzy z „Charlie Hebdo” – przy bramie budynku płonęło zaledwie kilkanaście świeczek. Ten brak zainteresowania jest poniekąd zrozumiały: nie mamy w Polsce ani wolnej prasy, ani licznej społeczności muzułmańskiej, która mogłaby się poczuć poczynaniami tej prasy znieważona. Mordowi za rysunki Mahometa i dyskusji, która się w związku z tym rozpełtała, przyglądaliśmy się z oddali jak jakiejś straszliwej, lecz egzotycznej tragedii. I tak jest nadal. Tyle tylko, że taka strusia perspektywa niczego nie ułatwia. Nie tylko dlatego, że kiedyś będziemy mieli i wolną prasę, i liczną muzułmańską mniejszość: leżymy w Europie. Przede wszystkim jednak dlatego, że chodzi o kwestie w demokracji zupełnie fundamentalne.

Niektórzy czytelnicy mogą zaoponować, że mamy wolną prasę. Cenzurę zniesiono ponad ćwierć wieku temu i każdy mówi, pisze czy rysuje, co chce. Cenzury politycznej istotnie nie ma, ale niektóre wypowiedzi są karane: za znieważanie uczuć religijnych grozi kara do dwóch lat więzienia (art. 196 kk) i co roku wszczyna się z tego artykułu kilkadziesiąt postępowań, w tym w związku z publikacjami w mediach. Zaś art. 21.6.2 ustawy o radiofonii i telewizji nakazuje respektowanie przez te instytucje chrześcijańskiego systemu wartości. Choć postępowania w związku z tym artykułem są niezmiernie rzadkie, to w sposób oczywisty ogranicza on, podobnie jak przywołany artykuł kodeksu karnego, wolność wypowiedzi, w tym prasowej. Ograniczeń takich nie ma we Francji i publikacje „Charlie Hebdo” były tego najlepszym dowodem.

Tu zapewne zaoponują inni czytelnicy, którym nie spodoba się wyróżnienie społeczności muzułmańskiej, jako szczególnie podatnej na uczucie znieważenia. Jest oczywiście prawdą, że ubiegłoroczna sprawa Golgota Picnic pokazała, jak bardzo gotowe narzucać cenzurę są tłumy oburzonych chrześcijan, zaś w Izraelu pod presją środowisk ultraortodoksyjnych, z jakiegoś powodu odczuwających zniewagę na widok zdjęć czy rysunków postaci kobiecej, cenzuruje się miejscami reklamy, które takie zdjęcia czy rysunki zawierają. Ale – póki co? – to jedynie niektórzy muzułmanie są gotowi zabić w odwecie za tego rodzaju zniewagę: styczniowy mord w Paryżu nie był przecież pierwszym. Gdy w 2006 r. dziennik „Rzeczpospolita”, jako jedyny w Polsce, ośmielił się opublikować dwie z kilkunastu karykatur proroka zamieszczonych w gazecie „Jyllands-Posten”, ówczesny polski premier oraz szef MSZ natychmiast przeprosili muzuł-

manów za obrazę. W zamieszkach na całym świecie, wywołanych publikacją duńskiej gazety, zginęło wcześniej kilkadziesiąt osób i rząd najwyraźniej się bał.

Należy tu zauważyć, że niektórzy krytycy muzułmańskich reakcji na publikację karykatur stwierdzają, że w ich treści nie było nic uwłaczającego, i że tym samym oburzenie wiernych – uzasadniane tym, że w islamie jakiegokolwiek przedstawianie postaci proroka jest zabronione – jest niedopuszczalne. Jest to argument chybiony, obraza bowiem zawsze jest subiektywna. Nieistotne jest, czy słusznie muzułmanie się na rysunki Mahometa oburzają, czy nie – a także, czy zawsze i wszyscy się na nie oburzają. W islamie istnieje ikonografia Mahometa, zwłaszcza w Persji w XVI i XVII w. Zarazem jednak nawet takie oburzenie, które uznamy za słuszne (trudno na przykład dziwić się chrześcijanom oburzonym rysunkiem kopulujących ze sobą osób Trójcy Świętej, swojego czasu w „Charlie...” pomieszczonym), nie może usprawiedliwiać przemocy.

Dlatego wyjątkowo niestosowne były słowa papieża Franciszka wypowiedziane po mordzie, że jeśli współpracownik będzie się źle wyrażał o jego matce, dostanie pięścią. Zachowanie, które opisał, istotnie wydaje się dość naturalne – ale przedstawione zostało jako normatywne, a powinno być przedstawione jako naganne. Jest wiadome, że w sytuacji seksualnego podniecenia niektórzy ludzie dążyć mogą bez zahamowań do zaspokojenia, ale molestowanie seksualne, o gwałcie nie wspominając, jest przestępstwem. Inni ludzie nie powinni ponosić negatywnych konsekwencji naszego ulegania popędom. Chyba że prawo stanowi inaczej – jak w Polsce – ale już nie we Francji. „Charlie Hebdo” nie mógłby się w Polsce ukazywać zresztą nie tylko dlatego, że prawo zabrania, ale także dlatego, że prawo to cieszy się szeroką akceptacją społeczną: uważa się tu ochronę czci za wartość wyższej rangi, niż swobodę słowa. We Francji jest dokładnie odwrotnie: publikacje w „Charlie Hebdo” były dla Francuzów dowodem, że swoboda słowa jest w ich kraju rzeczywista, skoro mogą bez przeszkód się ukazywać treści tak jednoznacznie obelżywe. Zaś lżeni chrześcijanie czy Żydzi godzili się płacić tę cenę wolności; niektórzy muzułmanie jednak – jak się okazało – nie.

Musi być bowiem bardzo jasne, że „Charlie Hebdo” obrażało i lżyło, i czyniło to ekumenicznie. Nie trzeba być chrześcijaninem, żeby czuć się przez przytoczoną karykaturę Trójcy znieważonym. Nie trzeba być Żydem, żeby odebrać jako zniewagę zamieszczony podczas wojny w Gazie rysunek rechoczącego Hitlera, który mówi: I co, Żydki? Gazujemy? Należy przy tym pamiętać, że – wbrew obiegowym opiniom – okładki tygodnika dużo częściej lżyły chrześcijan i Żydów właśnie, niż muzułmanów. Jednak większość rysunków szydzących z muzułmanów niewiele miała wspólnego ze znakomitą satyrą, zawartą w słynnej okładce z czasu wcześniejszego procesu „Charlie Hebdo” o karykatury Mahometa, na której zrozpaczony prorok jęczy: *O jak ciężko jest być kochanym przez dupków*. Rysunki publikowane w tym piśmie były z reguły paskudne, wredne i obelżywe. Nie założylbym koszulki z napisem „Jestem Charlie”. Ale założylbym z napisem „Jestem z Charlie” – w sensie: staję po ich stronie. Bo wiem „Charlie Hebdo” to równie patologiczna, co niezbędna konsekwencja jednego

z dwóch radykalnych rozstrzygnięć fundamentalnej dla demokracji kwestii: czy państwo ma decydować o tym, co wolno mówić publicznie. Polskie prawo rozstrzyga jednoznacznie: ma decydować, czego dowodem jest art. 119 kk i art. 26 ustawy o radiofonii. Dochodzi do tego ściganie znieważania funkcjonariuszy publicznych z równie publicznego oskarżenia i szereg innych restrykcyjnych przepisów. I choć Konstytucja w art. 54 zabrania cenzury prewencyjnej, to przecież nie następczej. Nie ma więc żadnych gwarancji, że zakres treści ściganych nie zostanie rozszerzony o nowe paskudztwa. Jak choćby te, które rozpowszechniał „Charlie Hebdo”.

Tymczasem we Francji rozstrzelane pismo wychodzi nadal i nadal obraża. Wątpliwe jest, by wzrosła jego poczytność, znieważa bowiem ekumenicznie i każdemu, wcześniej czy później, napluje w twarz. Mało kto jest na to gotów, a jeszcze mniej chciałoby wydawać na taką przyjemność własne pieniądze. Ale świadomość, że „Charlie Hebdo” wychodzi, stanowi dla każdego obywatela potwierdzenie, że głośić można (niemal) wszystko. Niemal, bo Francja też nie jest ziemią wolności absolutnej. Pochwała terroryzmu, na przykład, w roku ubiegłym przestała być uznawana za wartość prawnie chronioną. Generalnie jednak Francuzi nie są skłonni scedować na państwo prawa do rozstrzygania tego, z jakimi treściami mogą się zapoznawać i jakie głośić.

Ja też nie chciałbym przyznawać państwu polskiemu takich prerogatyw. Nie dlatego, bym to akurat państwo uważał za szczególnie w tym względzie niegodne zaufania, ale dlatego, że na takie zaufanie nie zasługuje, moim zdaniem, żadne państwo. Z dwójga złego wolę już, żeby mnie obrażano, niż żeby mnie chroniono. Nie jestem zresztą wobec zniewagi bezbronny.

Po pierwsze mogę jej nie szukać. Wiedząc, jakie treści publikuje „Charlie Hebdo”, mogę tego pisma nie czytać i nie kupować. Jeśli jednak to nie wystarczy, jeśli na przykład znieść nie mogę tego, że, kupując w kiosku pismo słuszne, narażony jestem na kontakt wzrokowy z okładką pisma niesłusznego i paskudnymi treściami tam pomieszczonymi – mogę zaprotestować. Mogę się domagać, żeby to pismo nie było w kiosku eksponowane. Albo wręcz, żeby ta akurat sieć kiosków (o ile istnieje ich więcej) odmówiła jego dalszego kolportażu. Nie mam prawa żądać, żeby pismo nie mogło się ukazywać, albo żeby w ogóle nie było kolportowane. Ale mam prawo żądać, żebym nie był narażony na kontakt z treściami, które głośi.

Tyle tylko, że skoro zarazem wyrzekam się możliwości scedowania na państwo egzekwowania tego prawa, pozostaje mi jedynie zwrócenie się z tym o pomoc do innej instancji, bez której nie jest możliwa ochrona praw i swobód: do społeczeństwa. Jeśli przekonam wystarczająco wielu ludzi, by poparli moje żądania, to szansa ich realizacji wzrośnie. Przedsiębiorstwo kolportażu cofnąć się może przed groźbą bojkotu, przed ryzykiem negatywnej reakcji innych kolportowanych przezeń tytułów. Może uda się doprowadzić, jak z pornografią, by treści te były rozprowadzane wyłącznie w wyspecjalizowanej sieci, nastawionej na złąknionych takich właśnie treści klientów.

Uda się albo nie. Inni nie muszą dać się przekonać, że moje oburzenie jest zasadne, że jest w ich interesie, aby mnie wesprzeć. Nawet jeśli się uda, to mogą zmienić zdanie, znudzić się i wszystko będzie po staremu. Inaczej niż przed trybunałem prawa, wyrok sądu opinii publicznej podlega natychmiastowej i bezterminowej rewizji. Istnieje też ryzyko, że rozwścieczony tłum, przekonany o słuszności swego oburzenia, zacznie wybijać szyby w kioskach czy wywracać furgonetki. Każda kampania społecznego niezadowolenia niesie takie ryzyko, wywołując ją, z góry ponosimy współodpowiedzialność za ewentualne ekscesy.

I wreszcie zwycięstwo także ma swoją cenę. Jeśli udałoby się na przykład w ten sposób wypchnąć „Charlie Hebdo” z kioskowych witryn, tylko wybrańcy, stali czytelnicy pisma, zobaczyliby wspomniany rysunek zrozpaczonego Mahometa czy też ten z pierwszej okładki po zamachu, na którym prorok ze łzami w oczach trzyma kartkę z napisem *Wszystko wybaczone*. Czy to on wybaczył swym szydercom? Czy to kole-dzy pomordowanych wybaczyli jego wyznawcom? Nie wiem. Ale bez tej wspaniałej karykatury wszyscy bylibyśmy ubożsi. Jak to dobrze, że „Charlie...” nadal dociera do klientów.